



Rozmyślenia przy malowaniu oka

Parę dni temu słuchacz radiowy zakwestionował sens utrzymywania nauki i naukowców, bez których przecież można by się obejść. Przez wiele lat, organizując Warszawski Festiwal Nauki, byłam pytana konsekwentnie przez „wnikliwych” dziennikarzy, **PO CO** popularyzuje się naukę. Pytanie można by rozszerzyć o to, **JAK** popularyzuje się naukę.

Źródeł, początków popularyzacji nauki upatruję w jej rozwoju. W pierwszej połowie XX wieku przedstawiciele „całej” liczącej się światowej fizyki gromadzili się na konferencjach w Getyndze w liczbie kilkudziesięciu osób, a odkrycie chemicznej natury genu stanowiło tylko ciekawostkę. Rzadko te osiągnięcia były upowszechniane, jeżeli – to w formie książek. Tak powstał stereotyp uczonego w przysłowiowej wieży z kości słoniowej.

Zmiany w takim sposobie myślenia nastąpiły wraz z pojawieniem się nauk interdyscyplinarnych, na styku fizyki z biologią, medycyny z chemią, matematyki z informatyką i innych. Żeby robić coś na miarę jeszcze XX wieku, trzeba było przekonać do swoich projektów kolegów i koleżanki z pokrewnych dziedzin. Trzeba było umieć mówić o swojej nauce w sposób przystępny: biolog powinien zrozumieć się z fizykiem, aby razem mogli uprawiać biofizykę. A w ramach współczesnej biotechnologii współpracować powinni byli mikrobiolog, genetyk, lekarz, chemik, fizyk, konstruktor reaktorów fermentacyjnych, informatyk i wielu innych. I ktoś jeszcze powinien był uczyć tych podejść w uczelniach wyższych, w średnich szkołach też.

Wypracowywanie wspólnego języka, konieczność zachęty dla uczonych z różnych dyscyplin nauczyły umiejętności wyrzeczenia się specjalistycznych żargonów. Niektórym się to nawet podobało.

Nauka na styku dyscyplin stawała się coraz bardziej kosztowna, nie była już tylko zawodowym hobby małych grup ludzi. Wymagała „obudowania” naukami humanistycznymi: filozofią, socjologią, psychologią. Czasem nawet przydawał się, ze swoją niebanalną wyobraźnią – malarz, rzeźbiarz, czy też muzyk. Pieniądze na badania dawało państwo, pojawił się też nowy typ mecenatu – prywatny przemysł, firmy produkcyjne, fundacje. Tym fundatorom też należało wytłumaczyć, co i dlaczego warto badać, z jakich kosztownych badań może wyrosnąć coś, co można będzie sprzedać! Należało też mówić do nich językiem, który rozumieli.



W latach 60. XX wieku powstały pierwsze interakcyjne Centra Nauki (oczywiście, zaczęło się to w USA), zainicjowano pierwsze festiwale i pikniki naukowe. Ich wspaniałą cechą było to, że każdy „maluczek” mógł tu dotknąć nauki, samodzielnie wykonać doświadczenie. Podatnik zaczynał rozumieć, dlaczego warto część podatków przeznaczyć na rozwój nauki. Pierwszy festiwal nauki w Polsce i pierwszy piknik powstały w 1997 roku. Byliśmy w czołówce działań tego typu w Europie.

Dziś liczba form, w których popularyzuje się naukę, wzrasta z każdym dniem. Najszybciej rozwijają się formy elektroniczne: strony informacyjne w Internecie, transmisje na żywo, portale społecznościowe, naukowe blogi i twittery, nawet nauka w Second Life. Rozkwitają bardzo różnorodne w formie i „rozmiarze” spotkania z nauką: szkolne festiwale, dni nauki w małych miastach pozbawionych uczelni i centrów, kawiarnie naukowe dorosłych i młodzieży, uniwersytety dzieci i seniorów, wieczorki naukowe, spotkania filozoficzne. Propaguje się naukę dzięki imprezom w typie „Mam talent”. Możliwa staje się interakcja w myśleniu, tak jak wcześniejsze instytucje i centra nauki wprowadziły interakcje w doświadczeniu. Wbrew pesymistom nie zniknęły też pisma i książki popularyzujące naukę.

Może ten cytowany we wstępie słuchacz radiowy po prostu mnie prowokował, a ja się dałam na to nabrać...

Magdalena FIKUS